

STANISŁAW GUTOWSKI

Strz. Stanisław Gutowski, 45 lat, [nieczytelne], żonaty [?].

18 września 1939 r. w Równem dostałem się do niewoli sowieckiej. Spędzono nas do koszar kawaleryjskich i umieszczono w stajniach. Było nas półtora tysiąca żołnierzy. Mieszkaliśmy tam przez sześć dni. Spaliśmy na gnoju końskim, jeden obok drugiego. Żyliśmy tylko tym, kto co miał, a ci co nie mieli, głodowali.

24 września po południu zaprowadzili nas na stację kolejową i załadowali po 80 osób do wagonu bydłęcego, który nie miał więcej jak 20 ton. Tak zamkniętych w wozach zawieźli [nas] do Szepietówki. W drodze nie dali nam ani kawałka chleba, ani kropli wody.

W Szepietówce również zamknięto nas w koszarach, ale tu nie w stajniach, tylko w małych salach o powierzchni 16 m². W każdej takiej sali siedziało po 50 ludzi. Musieliśmy spać na betonowej posadzce, a przy tym było bardzo ciasno. Na dobę otrzymywaliśmy tylko pół litra rzadkiej zupy, ok. 450 g razowego, niedopieczonego i kwaśnego chleba, a raz dwie solone ryby.

5 października zebrali nas wszystkich na dziedzińcu koszar i powiedzieli, że puszczą nas do domu. Tylko sami muszą nas odprowadzić, a w Dubnie zwolnią i wydadzą zabrane poprzednio dokumenty.

Uradowani i szczęśliwi, że wrócimy do domu i raz już się skończy nasza tułaczka, zebraliśmy szybko swoje tłumoczki i nawet nie upominaliśmy się o jedzenie, mimo że głód nam dokuczał. Ruszyliśmy pod ich opieką pieszo w stronę Dubna. W Dubnie okazało się, że to był tylko trik z ich strony – zamiast do domu [poszliśmy] do obozu, za druty. Tu zaczęła się praca. Chodziłem z innymi do kopania rowów. Kazali wyrobić ustalone przez nich normy, których nikt nie mógł wykonać. Kto nie wykopał sześciu metrów sześciennych rowu, ten musiał głodować, ponieważ racje żywienia były zmniejszane.

Niedługo trwała ta moja bieda, bo w grudniu 1939 r. przewieźli mnie do Warkowicz. Sądziłem, że w Warkowiczach będzie mi lepiej, tymczasem okazało się, że wpadłem do gorszego piekła. Praca podobna do poprzedniej, norma większa, jedzenie gorsze. Dawali tylko 500 g chleba, trochę zupy na obiad, a na śniadanie łyżkę niedogotowanej kaszy. Tak odżywiany musiałem pracować po 12 godzin dziennie, przez pięć miesięcy bez łaźni i dezynfekcji. Wszy garściami zbierałem. Mieszkaliśmy w namiotach przy 40 stopniach mrozu.

W obozie zaczęli ludzie chorować na tyfus i czerwonkę. Lekarzem był jeden z naszych, ale zaradzić żadnej chorobie nie mógł, ponieważ nie miał odpowiednich środków leczniczych, leczył jedynie bańkami, jodyną i aspiryną. W tych warunkach dużo ludzi umierało. Z mego namiotu umarło siedmiu. Z 1,2 tys. ludzi pozostało 730 przy życiu, którego życiem nigdy nazwać nie było można. Każdy podobny był do szkieletu. Zaczęliśmy upominać się o lepsze traktowanie i opiekę. Tych, co się w imieniu wszystkich upominali, zamknęli do karceru i więcej ich nie widziałem. Byli to trzech oficerowie polscy, których nazwisk nie znam.

3 czerwca 1940 r. wywieźli mnie do Młodawy, gdzie warunki mieszkaniowe były lepsze. Tu dopiero, po pół roku, mogłem skorzystać z wody i umyć się. Nie trwało to dobrodziejstwo długo, bo z powrotem wywieźli do Dubna, stąd do Romanówki, a następnie pod Tarnopol budować lotnisko.

W Tarnopolu byłem do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. 28 czerwca 1941 r. zebrali nas ok. 3,6 tys. ludzi i pędzili pieszo przeszło 800 km za Dniepr, bez odpoczynku i przy małej dawce czarnego chleba (200 albo 600 g sucharów), brak nam było nawet tych pospolitych ryb sowieckich. Do Starobielska doszło nas tylko 2,8 tys. ludzi, ponieważ tych, którzy za nami nie mogli nadążyć ze zmęczenia i głodu, konwojenci zabijali. W drodze w nieludzki sposób został zamordowany przyjaciel z mojej wioski Stanisław Orzeszek.

Z tych, co przyszli do Starobielska, nie wszyscy zostali przy życiu, w kilka dni umarło z wycieńczenia 82.

5 września 1941 r. w Starobielsku wstąpiłem do armii polskiej.